

MAGAZYN OPINII

Pismo.

PAŹDZIERNIK 2022 | NR 10 (58)

REPORTAŻ ŚWIAT

Arabia Saudyjska: król jest tylko jeden

PORTRET

Legendarna fotografka Sycylii

ESEJ

Światowy ład *made in China*

Nowa polityka wschodnia Niemiec

ROZMOWA

Andrzej Leder: Jak wyjść z pułapki bezradności?

CENA: 17,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258



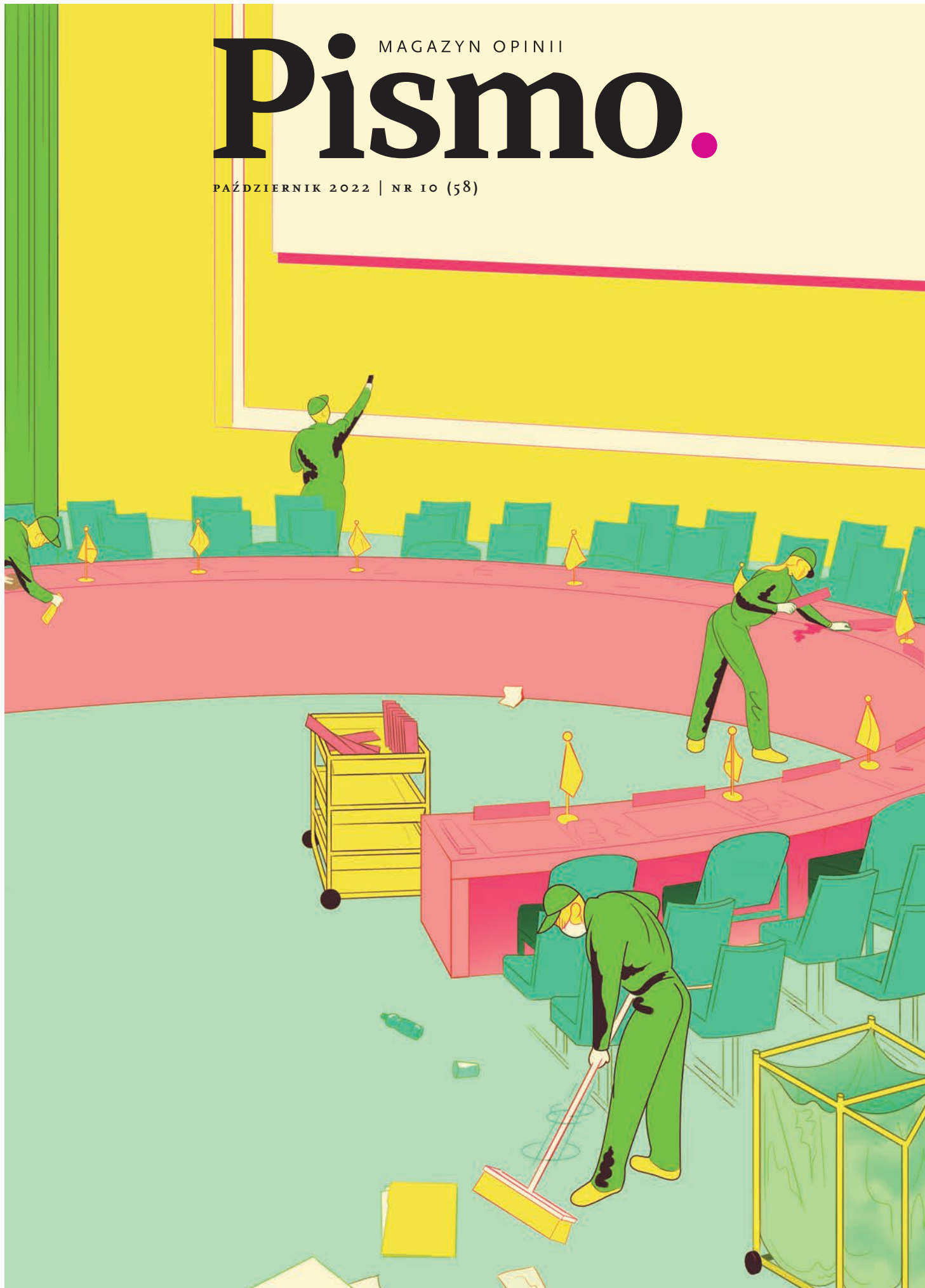
9 772544 502203



MAGAZYN OPINII

Pismo.

PAŹDZIERNIK 2022 | NR 10 (58)





 **silesius**
Wrocławska Nagroda Poetycka

 **ANGELUS**
LITERACKA NAGRODA EUROPY ŚRODKOWEJ

Wrocławska
Nagroda Poetycka
Silesius 2022

Literacka Nagroda
Europy Środkowej
Angelus 2022

KALENDARIUM

1-14.10	Salony Angelusa – spotkania z nominowanymi
15.10	Salony Silesiusa – spotkania z nominowanymi w kategoriach Debiut i Książka roku
15.10	Spotkanie z Marcinem Sendeckim, laureatem Silesiusa 2022 za całokształt pracy twórczej
15.10	Gala finałowa
16.10	Spotkanie z laureatką/laureatem Angelusa 2022
16.10	Spotkanie z laureatami Silesiusa 2022 w kategoriach Debiut i Książka roku

Spotkania z nominowanymi i laureatami odbywają się w ramach Bruno Schulz. Festiwalu

Klub Proza, Wrocław | transmisje online

www.literatura.wroclaw.pl

www.fb.com/WroclawskiDomLiteratury

ORGANIZATORZY



PARTNERZY



Pismo.

PAŹDZIERNIK 2022

PROZA FELIETON

Sól | 6
KINGA PIOTROWIAK-JUNKIERT

2 | ROZMOWY Z K. **WLTA**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytania czytelniczki

Alief | 90
BRYAN WASHINGTON

96 | PRZYPISY **À propos geopolityki**
ZUZANNA KOWALCZYK

RZECZ GUSTU APTECZKA

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w październiku

95 | **Co w niej trzyma...**
ÉDOUARD LOUIS

POEZJA ROZMOWA

Brzydkie słowa | 26
WOJCIECH KUCZOK

10 | **Czego uczy bezradność?**
JUSTYNA DĄBROWSKA pyta PROFESORA ANDRZEJA LEDERA

Chciałomy | 65
ADA RĄCZKA

REPORTAŻ ŚWIAT

OBRAZ

CYKL REMEDIUM **Betonoza** | 4
RAV.A STORIES

16 | **Władza absolutna**
GRAEME WOOD u Muhammada ibn Salmana, przyszłego króla Arabii Saudyjskiej

ESEJ ŚWIAT

ARCHIWUM FOTOGRAFII **Tło życia** | 34
MAGDALENA KICIŃSKA

40 | **Państwo Środka w świetle reflektorów**
MARCIN JACOBY opisuje przebudzenie Chin na arenie międzynarodowej

KOMIKS **Czuła architektura** | 60
ZOSIA DZIERŻAWSKA, CHARLOTTE MALTERRE-BARTHES

52 | **Nowa Ostpolitik?**
PAWEŁ MARCZEWSKI bada, czy zmiana w polityce Niemiec wobec Rosji jest realna

STUDIUM

W RAMACH PISMA **Dunjas, Donyas, Dinias** | 76
SLAVS AND TATARS

66 | **Odlóżymy złotego do lamusa**
JAN CIPIUR wyjaśnia, dlaczego Polska potrzebuje euro

PORTRET

OKŁADKA **Bezrada Bezpieczeństwa**
DANIEL GUTOWSKI

78 | **Letizia Battaglia: jej życie i twórczość**
FABIO TURCO opowiada o życiu i twórczości najsłynniejszej włoskiej fotograflki

ESEJ KULTURA

86 | **Bałamutne książki i czcza pisanina**
ANDREW PETTEGREE, ARTHUR DER WEDUWEN o bibliotece oksfordzkiej

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl



Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszynska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i sekretarstwo redakcji: Katarzyna Kazmierowska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Idee: Karolina Lewestam, Ekonomia i Technologie: Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Edyta Zielińska, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Ewa Pluta
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz, Skład i łamanie: Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszynska, Marketing: Mateusz Roesler, Promocja: Ewa Salamon,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Fundraising: Natalia Czarkowska, Reklama: reklama@magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Numer „Pisma”, który czytasz, oraz spotkanie w Berlinie, które odbędzie się w październiku powstały z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.,
teraz modne są historie z pytaniem „AITA?” (*Am I the Asshole?* – Czy jestem ch...?).

Zacznę od początku: rodzice się rozwodzą. Od małości wiedziałam, że to się stanie. Nienawidzili się. Nie zdziwiłam się więc, że mama zostawiła ojca po dwudziestu siedmiu latach.

Dowiedziałam się o tym w momencie, gdy w końcu, pierwszy raz w życiu, wszystko było u mnie dobrze. Odcięłam się od rodziców finansowo i emocjonalnie, dostałam pracę, o jakiej marzyłam, i chodziłam na terapię. Problem pojawił się, gdy ojciec zaczął podejmować próby kontaktu.

A więc: AITA, gdy nie mam ochoty odpisywać na SMS-y pod tytułem „Co u ciebie?”, bo to pytanie nie padło ani razu wcześniej przez dwadzieścia sześć lat? AITA, gdy nie wierzę w „Jesteś dla mnie najważniejsza”, bo pamiętam, jakim problemem było choćby udostępnienie telewizora, abyśmy mogli wspólnie obejrzeć film, kiedy jeszcze bywałam w domu? Dlaczego ktoś postanawia się zmienić dopiero w momencie, gdy zdołałaś już przepracować wszystkie traumy, zrozumieć swój lękowy wzorzec przywiązania, pogodzić się z żałobą po relacji, której nigdy nie było? Usłyszałam, że psuję całą chęć i starania ojca. Może jestem okrutna? (...)

Pozdrawiam
inna K.

—
Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

WLTA

Kochana inna K.,

opowiem ci o treserze lwów. Nazywał się – powiedzmy – Bronisław. Był ów Bronisław człowiekiem średnio pożądanym w towarzystwie. Miał na przykład zwyczaj przychodzić na zebrania cyrku w stanie upojenia alkoholowego i mówić rzeczy w rodzaju: „Obyś spadł z trapezu, Anatolu, ty podły niezguło!” albo „Jak chcesz kogoś naprawdę rozśmieszyć, Zenonie, to zdejmij nos klauna i po prostu pokaż publiczności ten prawdziwy!”. Bronisław potrafił też łapać za tyłki młode woltyżerki i grubiańsko się przy tym śmiać (ha, ha, HA!). Nawet jego lew się czasem za niego wstydził. A nie miał łatwego życia ten lew, bo jak mu coś nie wyszło, na przykład nie przeskoczył przez płonące koło na komendę „Hop”, Bronisław na odlew walił go w pysk albo pozbawiał jedzenia na dwa dni i zamykał w maleńkiej klatce. Lew znosił to cierpliwie, bo w końcu Bronisław był jego treserem, ale czasem coś w nim wzbierało i trochę gulgotało.

Potem długo nic się nie działo, a później cyrk przyjechał do zupełnie nowego miasta i treser, próbując przekonać lwa do tańca na dwóch nogach, tak mu przyłożył kijem w nieposłuszne tylne łapy, że napuchły, a może nawet wdało się zakażenie. Potem jeszcze nawrzucał biednemu lwu („Baletnica z ciebie jak z koziej dupy pułapka na wiewiórki!”) i poszedł spać w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Następnego dnia był Bardzo Ważny Występ i treser, we fraku i z wypomadowanym wąsem, wkroczył na scenę, ciągnąc na postronku lwa. Rozległy się brawa, zagrała muzyka i Bronisław syknął do lwa:

– Dawaj no tu walca, ty bezużyteczna kupo futra!

Ale lwa bolały potwornie łapy, a poza tym naprawdę miarka się przebrała. Spuszczony ze sznurka wypiął się spektakularnie na tresera i ryknął:

– A sam se, kurde, tańcz! – i wykużył ze sceny, a potem i z cyrku.

Połowa publiki zaczęła klaskać, a druga połowa gwizdać. A co było dalej? Oczywiście wielki żal Bronisława i straszne złorzeczenia. Że jak lew mógł mu to zrobić. Że lew przecież właśnie pogrzebał mu karierę. Że jest niewdzięczny, bo on, Bronisław, wypruwał sobie przez wiele lat żyły i tak dalej, i tak dalej. No i rzeczywiście – wywalono Bronisława z cyrku, bo po co komu treser bez lwa, i skończył na bezrobociu, ale wciąż pisał listy do lwa, że to przez niego wszystko, że to wina lwa, że lew nie pozwalając mu się nadal tresować, niweczy progres duchowy Bronisława, który by zachodził w nieprawdopodobnym tempie, gdyby nie jego obojętna postawa. Przepraszał za głodzenie lwa, ale kiedy lew nie odpisywał, że wybacza, pisał mu, że lew jest okrutny i nieczuły. Opowiadał tę historię każdemu napotkanemu człowiekowi, aż w końcu jakiś facet na przystanku popatrzył na niego zdziwiony i powiedział:

– Ty, koleś, jak ześ mu nogi przetrzącił, to jak on miał dla ciebie tańczyć? Ty powinienes temu lwu łapy całować, że cię tyle lat znosił, a potem zasponsorować mu anonimowo wyjazd na sawannę! – *Was lew the asshole? WLTA?*

Chcę tu powiedzieć rzecz następującą, zajeżdżającą poniekąd *Mahym Księciem*: nikt nie jest odpowiedzialny za kogoś, kto go nawet porządnie nie oswoił. Każdy lew ma prawo odejść z cyrku i to nie jego wina, że komuś z tego powodu jest przykro. Kto ci przetrzącił uczucia rodzinne, nie może się domagać, żebyś z nim tańczyła *father-daughter dance*. NTA (*Not the asshole*). NTA, słyszysz? Twój ojciec wini ofiarę za nienianiańczenie oprawcy. Ale ty to wiesz – w dalszej części listu napisałaś przecież „Bardziej (od nieodpowiadania na SMS-y) okrutne jest zaszczepianie u dziecka niskiego poczucia własnej wartości, poczucia, że nie zasługuje się na miłość, że coś jest z nim nie tak, (...) agresja słowna i fizyczna”. Twój ojciec nie ma prawa cię obwiniać, nie ma prawa się domagać. A co może? Może tylko dać ci znać, że przeprasza, że jest gotów do odbudowania mostu między wami, że będzie czekał cierpliwie, że tęskni, że cię kocha.

A ty możesz z tą wiedzą zrobić to, co zechcesz. Takie jest twoje prawo, prawo wszystkich lwów.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w październiku



Festiwal Przemiany w Centrum Nauki Kopernik

12. edycja festiwalu Przemiany odbędzie się między 7 a 9 października w warszawskim Centrum Nauki Kopernik. To wydarzenie na przecięciu nauki, technologii oraz humanistyki, zapraszające na wystawy oraz spotkania. Tegoroczna edycja odbywa się pod hasłem „Wyhoduj sobie miasto” i skoncentruje się na współczesnych wyzwaniach cywilizacyjnych, które widać w tkance miejskiej.

WIĘCEJ: kopernik.org.pl



Finał nagrody Angelusa i Silesiusa na Bruno Schulz. Festiwal we Wrocławiu

Między 12 a 16 października we Wrocławiu odbędzie się Bruno Schulz. Festiwal – międzynarodowy festiwal literacki poświęcony twórczości Brunona Schulza oraz tematowi stosunków polsko-żydowsko-ukraińsko-niemieckich w literaturze i sztuce. Wydarzenie, podczas którego odbędą się również spotkania z nominowanymi do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius i Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus, zwieńczy gala przyznania obu nagród.

WIĘCEJ: literatura.wroclaw.pl

7

9

12

Październik 2022

24



Unsound Festival

20. edycja festiwalu Unsound – wydarzenia poświęconego odkrywaniu nowych scen muzyki eksperymentalnej i nowoczesnej

oraz przedstawianiu projektów artystycznych powiązanych z dźwiękiem – odbędzie się w Krakowie między 9 a 16 października. W tym roku wystąpią m.in. Caroline Polachek, Marina Herlop i Alyona Alyona.

WIĘCEJ: unsound.pl



Europejskie Forum Nowych Idei

Jedna z największych konferencji w tej części Europy poświęcona globalnym trendom, nowym ideom oraz przyszłości Unii Europejskiej – Europejskie Forum Nowych Idei – odbędzie się w Sopocie między 12 a 14 października. W tym roku w programie przewidziano między innymi debaty poświęcone tematowi wojny w Ukrainie, potencjału nowych technologii, gospodarki nadmiaru czy transformacji energetycznej.

WIĘCEJ: efni.pl

Conrad Festival w Krakowie

Tegoroczna edycja Międzynarodowego Festiwalu Literackiego Conrad odbędzie pod hasłem „Wspólnota”. Między 24 a 30 października w Krakowie odbędą się spotkania z pisarzami, wykłady i debaty, ukoronowane wręczeniem nagrody Conrada dla najlepszego polskiego debiutu. Wśród gości festiwalu pojawi się m.in. laureat Nagrody Nobla za 2021 roku, Abdulrazak Gurnah.

WIĘCEJ: conradfestival.pl





Betonoza

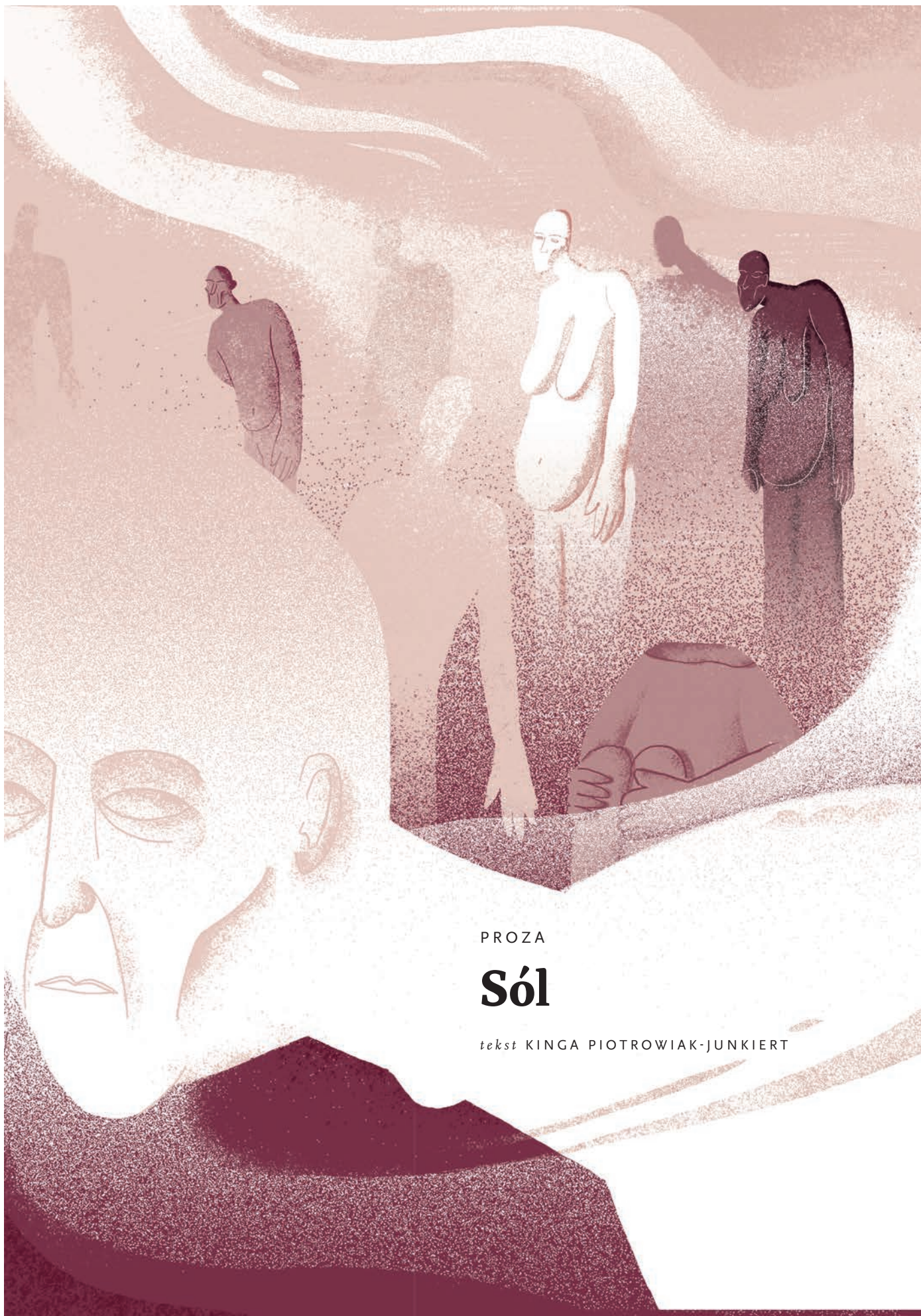
tekst JOANNA KINOWSKA
zdjęcie TOMASZ WATRAS

—
Ciepło, prawda? Dopieklą nam susza i zmieniający się klimat. Rosnące słupki rtęci czy raczej świecące coraz mocniej elektroniczne wyświetlacze. Żeby w Katowicach było tak ciepło jak w Rzymie? Żeby Rzeszów był cieplejszy od Walencji? I te „żarty” znajomych: „To lato jest i tak zimniejsze od tych, co nadejdą”. Jak sobie radzić z tym ciepłem?

Zamknij i zasłoń okna. Zejdź do piwnicy. Albo – jak wskazywały braki w magazynach wiatraków i klimatyzatorów – zaopatrz się w potrzebny sprzęt. W tym samym czasie dochodzą wieści, żeby wyłączyć klimatyzację, bo zostawia za duży ślad węglowy, bo to zbędne w dobie kryzysu. Więc jak żyć?

Skazaliśmy się na porażkę. Nasze miasta są kompletnie nieprzystosowane do radzenia sobie z tak wysokimi temperaturami. W domach brak okiennic, wiaty przystankowe budowane są chyba tylko dla ozdoby. Nagrzewający się wszechobecny beton wygrywa z każdym drzewem zduszonym w absurdalnej miejskiej donicy. Jeśli mieszkasz w dużym mieście, jest nadzieja, że w najmodniejszej jego części trafisz na rozpiętą kurtynę wodną. Ale w dobie kryzysu i suszy fontanny mogą być reglamentowane. Co nam zostaje?

Wyjdź z domu. W plener. Oczywiście do cienia, gdzie jest przewiew. Albo pomyśl o listopadzie, albo o końcu stycznia. Grudzień odpada, bo wszyscy już się cieszą na święta i sylwestra. A taki listopad czy styczeń są zupełnie bezpieczne. Teraz włącz wyobraźnię: jest listopadowe popołudnie. Ciemno. Żle. Zachmurzenie pełne, nisko wiszące chmury, coś pada z nieba, zacina wiatr. Chłodniej, prawda? Obiecuję sobie wtedy nigdy więcej nie nadużywać słów: „Jest za ciepło”. Polecam.



PROZA

Sól

tekst KINGA PIOTROWIAK-JUNKIERT

Słone pola otaczały siedlisko w promieniu kilkuset kilometrów. Ilu dokładnie, nie wiemy, bo nikt nie próbował i nie chciał stąd uciec, byliśmy ostatnimi ludźmi. Ziemia od dawna nie rodziła już owoców, czasami zakwitała zniecka lekko różowymi kryształami soli, które zrywaliśmy jak kwiaty i przechowywaliśmy na specjalne okazje. Nacieraliśmy nimi skórę niemowląt i wkładaliśmy najmniejsze grudki pod języki zmarłych. Jeżeli istniało coś poza białymi polami, na pewno nie miało smaku. Tak wyobrażaliśmy sobie raj, jako coś niebiałego i nieraniącego skóry.

Nikt z nas nie pisał i nie czytał. Nie traciłszy czasu na zbędne czynności, skoro prawie każdy ślepl przed trzydziestymi urodzinami, a potem tylko zasychał i tężał. Ci, którzy już nie reagowali na pytania, byli zanoszani do lasu przodków w pozach, w jakich ich zastaliśmy. Kolekcja składała się z wyprężonych w łuk lub skulonych postaci i tworzyła ścianę od wschodniej strony siedliska. Sól konserwuje, więc po śmierci nie była potrzebna mumifikacja, ciała nie miały zapachu, a ich skóra przypominała pobieloną wapnem ścianę, więc nie rzucała się w oczy tym, którzy jeszcze odróżniali kolory. Dzięki ciasno ustawionym ciałom mogliśmy się odgrodzić od dotkliwych wiatrów. Najmniejszy powiew był dla nas śmiertelnie niebezpieczny. Przewracaliśmy się od byle podmuchu i z każdym ruchem powietrza wzbijaliśmy się w górę jak leciutki pergamin. Zmarli, nie wiedząc czemu, stawali się nieznośnie ciężcy. Dlatego kilka razy dziennie obchodziliśmy siedlisko, by na czas zarejestrować pierwsze oznaki gaśnięcia i w porę przenieść ciało na miejsce.

Las ciał dość szybko się kruszył i rozpadał w brudnobiały proch, więc przyjmowaliśmy śmierć jak ocalenie. Odgradzaliśmy się matkami i ojcami od niebezpieczeństwa. Nasi ludzie odchodzili z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, a niektórzy dopiero w chwili śmierci czuli, że wreszcie się na coś przydadzą, chociaż nie mogli już odnotować własnego bohaterstwa. Ostatni ludzie umierali w podeszłym wieku, ale do późna rodzili dzieci. Kobiety i mężczyźni. Zagrożenie wyginieciem gatunku przyspieszyło ewolucję. Do donoszenia ciąży wystarczył zdrowy żołądek. Mężczyźni w tym stanie przestawali jeść

na kilka miesięcy, potem rozcinaliśmy im brzuchy, wyjmowaliśmy niemowlęta, a tydzień po zszyciu powłok znów byli gotowi do rozrodu. Łudziliśmy się, że przy odrobinie seksualnej dyscypliny i gromadzeniu wody naszej małej cywilizacji nie zagraża nic złego. Tymczasem nadszedł dzień, w którym poznaliśmy prawdę.

Od rana huczał wicher. Wpadał do izby przez najmniejsze szczeliny i wył jak zranione zwierzę. Zwykle kobiety nie przebywały z mężczyznami, bo medytowały, ale nerwowa bieganiina w szałasie mężczyźni zdradzała, że coś przed nami ukrywają. Poszłam do nich, stanęłam w progu. Wasyl, ostatni przedstawiciel wielkich starców, łąził w kółko i szeptał po kątach. Nagle przywołał do siebie Grega i kazał mu pójść z miotłą i blaszanym wiadrzem na skraj lasu przodków. Greg miał wymacać na kłęzkach stan skruszenia ciał. Wasyl podejrzewał, że gwałtowne masy powietrza poprzewracały figury, które roztrzaskały znaczną część zapory. Greg, jako dwudziestotrzylatek, miewał dni, kiedy potrafił jeszcze rozpoznać pojedyncze kształty. Był świetnym zwiadowcą, umiał złapać w pułapkę solnego sępa, którym żywił się przez długie miesiące. Dorosły mężczyzna, który nie oczekiwał dziecka, zjadał łyżeczkę pokarmu raz na tydzień, kobiety nie jadały wcale. Głodniały tylko po porodzie. Podawaliśmy im wtedy zasuszony kawałek mięsa, nie większy niż paznokieć małego palca.

Greg przybiegł przerażony, ledwo go zuzumieliśmy, bo zasłaniał sobie usta rękami.

– Tam! Tam! – wołał.

Nie wiedzieliśmy, co go spotkało. Nie mogliśmy nawet spojrzeć w kierunku, z którego przybył, bo żadne z nas już nie widziało.

– Zaprowadź nas – nakazał Wasyl i dzwignął się ze swojego stołka.

– Nie ruszaj się! Wszyscy na ziemię! – krzyczał Greg. – Idzie kataklizm! Ujrzałem wielką chmurę, czarną na brzegach, a srebrną w środku, wiło się w niej tysiąc węzowych dzieci. Głowy ich były ptasie, a zamiast łap miały czteropalczaste szpony. Idzie na nas kłęska, Wasylu, wywieje nas! Cóż my zrobimy, nawet nie możemy się schować w ziemi, bo żadna łopata nie przebije tej słonej skorupy!

– Jak daleko są chmury?

– Dwa dni od nas.

– Przywołajcie dzieci, musimy się narodzić.

Mężczyźni się rozeszli, a ja poczułam dziwny, lekko słodki zapach, który zwykle poprzedzał zastyganie. Wasyl najprawdopodobniej nie doczeka jutra. Zbliżyłam się do niego i próbowałam dotknąć jego włosów. Chciałam powąchać jego głowę. To zwykle wystarczyło, by uzyskać pewność, czy ktoś jest bliski śmierci. Wyciągnęłam ręce przed siebie, żeby ustalić, ile jeszcze mam zrobić kroków i nagle poczułam na policzku smagnięcie ciepłym podmuchem. W ułamku sekundy przed oczami zamigotały mi niewyraźnie mroczna chata, biała koszula Wasyla i wyblakły stołek, który stawał na środku pomieszczenia. A tuż przed sobą dostrzegłam moje, ale jakże obco wyglądające, bielutkie, pomarszczone ręce i wielki, obwisły brzuch. Nie zdążyłam obrócić głowy, gdy znowu wróciła ciemność. To dlatego Greg ujrzał chmurę. Nad solniskiem pędził wicher zwiastujący koniec świata i chociaż niósł zagładę, odwracał ślepotę. Chwilę czekałam na kolejny podmuch, ale powietrze znieruchomiło. Wasyl milczał. Czy on też miał widzenie?

Nagle wbiegły dzieci. W chacie zaroilo się od ciepłych drobnych ciał, potracających wszystko i wszystkich. Wasyl chrząknął dwa razy, zapadła cisza.

– Czy którekolwiek z was widziało solną sowę?

Nikt nie zabrał głosu. Szkoda, że nie widziałam ich min.

– Skupcie się! To ważne! A jakiegokolwiek solnego ptaka? Czy coś nie latało przypadkiem nad naszymi chatami?

Z tyłu usłyszeliśmy szuranie.

– Ja widziałam – powiedziała dziewczynka, chyba córka Lei. – Przylatują sowy, prawie codziennie, krążą nad równiną i zawracają na południe. Mają potężne skrzydła i w ogóle nie przysiadają na ziemi. Nie są zmęczone. Każdy ptak jest zdrowy, z wyraźnymi kolorami na piórach. Widać, że nie śpią na solniskach, są dobrze odżywione. Dlaczego pytasz?

Wasyl milczał, głęboko pogrążony w myślach. W końcu wstał, postukał kijem w ziemię, dzieci odsunęły się i zrobiły mu przejście. Starzec wyszedł przed chatę, westchnął głośno i rzucił przez ramię:

– Oto koniec ludzi soli. – Pokiwał głową, jakby chciał potwierdzić własne słowa i dodał: – Za mną. Nie mamy wiele czasu.

—
SZLIŚMY KILKA GODZIN, gdy nagle poczułam na twarzy wilgoć. Było to dziwne doznanie. Zebrałam się na odwagę i oblizawałam wargi. Płyn nie miał smaku, ale usuwał z ust suchość. Sięgnęłam ręką w prawo, nie było nikogo, ale palce uderzyły o coś twardego. Przybliżyłam się, by móc powąchać, poczułam dawno zapomnianą woń ziemi, mieszaniny gliny i kwiatów. Przesunęłam ostrożnie palcami po szorstkiej powierzchni. Skóra na palcach przykleiła się do czegoś lepkiego. Powąchałam. Żywica. Prawdziwa kropka żywicy. Szybko nagięłam pień w swoją stronę, wymacałam gałąź. Igły były wilgotne od deszczu, który musiał spaść, zanim tutaj dotarliśmy. Zawołałam po imieniu kilku naszych mężczyzn, ale nikt mi nie odpowiedział. Czyżby się zgubili? Zawołałam kobiety. Cisza. Potem zawołałam dzieci. Odpowiedziały wszystkie.

—
NIE PAMIĘTAM, kiedy ułożyliśmy się do snu ani jak znalazłam miejsce na nasz nocleg. Obudziłam się w ciemnej grocie, do której przenikały cienkie strużki światła. Na początku nie zdziwiło mnie, że widzę. Wsłuchiwałam się w odgłos wody kapiącej ze skalnego sklepienia. Podniosłam się z legowiska, napiłam z kałuży na środku jaskini i wyjrzałam na zewnątrz.

Tuż przed wejściem, niemal bezszelestnie, przebiegali ludzie, niscy i skuleni ludzie o ogorziałych twarzach. Mieli ciemną skórę i ciemne włosy, poruszali się w pośpiechu niczym owady pędzące ku słodyczy. Jeden przemykał za drugim, jakby łączyła ich mocna, ale elastyczna nić, która sprawiała, że nie rozdzielali się nawet na chwilę. Stałam wstrząśnięta ich obecnością. Wasyl codziennie rano powtarzał nam, że jesteśmy ostatnimi ludźmi na Ziemi, a tymczasem wystarczyło wyciągnąć rękę, by dotknąć lekliwych pielgrzymów, ciągnących w stronę jednego, choć nieznanego mi celu. Czy też uciekali przed wiatrem? Zachowywali się dziwnie, mrużyli oczy i zasłaniaли głowy skórzanymi kapturami, chociaż nie świeciło słońce.

Zawołani nie odwrócili się, za to jeszcze niżej pochylili głowy, jakby szukali czegoś na ziemi. Wzrok mieli rozbiegany i ciągle popychali tych, którzy choćby na chwilę zwolnili.

—
POSTANOWIŁAM SIĘ DOWIEDZIEĆ, dokąd tak się spieszą, poszłam wzdłuż ich trasy. Tuż za grotą ujrzałam falujące, szare morze ludzi, którzy gromadzili się wokół małego placu. Na przymie skleconej ze skrzyń stał wódz wymachujący rękami. Tłum gęstniał i gęstniał. Człowieczek wykrzykiwał niezrozumiałe wyrazy, a jego publiczność skandowała. Coś mi to przypominało, chociaż nie byłam pewna co. Poczułam głód. Ta myśl sprawiła, że się uśmiechnęłam, pierwszy raz od dawna chciałam coś zjeść.

Zadanie okazało się trudniejsze, niż sądziłam. Oprócz ptaków przelatujących w niesamowitym tempie wysoko nad ziemią nigdzie nie było widać zwierząt. Zanurzałam ręce w rzece, ale była zupełnie pusta. Nie miałam zbyt dużo czasu, musiałam wracać do dzieci, więc narwałam na polach pszenicy. W jaskini znalazłam kamień, którym uwolniłam ziarna z kłosów. Tego się nie zapomina, tak jak nie zapomina się skrobania ziemi z soli. Jako dziecko często pomagałam przy gotowaniu, wtedy jeszcze nasi jedli i zajmowali się uprawą ziemi. Z trudem rozpałam ogień, ale w końcu nadszedł czas, by z mieszaniny utartej mąki i ziół zarobić ciasto na placki. Dawno nie układałam kamieni, by wypiekać na nich jedzenie, więc wszystko sprawiało mi trudność, ale w końcu doczekaliśmy się podpłomyków. Rozpadały się w rękach, ale syciły.

Dzieci szybko zasnęły, a ja usiadłam przed grotą. Obserwowałam falujące rzędy biegnących ludzi i tarłam oczy. Widziałam od dwóch dni i nie mogłam się przyzwyczaić do kształtów świata. Swędziały mnie powieki, jakby coś miało w nich wyrosnąć. Widzenie się nie cofało, chociaż nie czułam wiatru. Zaczęłam podejrzewać, że naszą ślepotę wywoływało solnisko. Gapiłam się w ciemność i rozmyślałam.

Dlaczego Wasyl po nas nie wrócił, dlaczego nie wołał, kiedy poczuł, że się rozłączyliśmy? Wiedziałałam, że rano obudzą dzieci i będziemy musieli się cofnąć, jakoś odszukać ślady stóp zaginionych mężczyzn, a jeśli nikogo nie znajdziemy, naradzić się i ruszyć z powrotem. Może zamieszkamy w jaskini i przeczekamy katastrofę?

Zadarłam głowę ku nocnemu niebu. Ciemnogrnatowe sklepienie było przejrzyste jak wielka nakrapiana kałuża. Ani śladu chmur czy kataklizmu.

Od świtu znowu zaczęło wiać. Szliśmy kilka godzin, ale miałam wrażenie, że stoimy w miejscu. Przeciwny wiatr był zbyt silny, byśmy mogli utrzymać dobre tempo marszu. Dzieci co chwilę przysiadły na ziemi, słabły ze zmęczenia, a niebo falowało, wcisnęło nas w pylistą drogę. W końcu usiadłam pokonana, a ciepły podmuch powietrza sypnął mi w twarz słonym pyłem. Czy to była resztką po naszych mężczyznach i kobietach? Czy Wasyl i pozostali się rozpadli? Dzieci nie były zdziwione, oblizywały usta. Nie podjęłam tematu.

Bez słowa podnieśliśmy się i ruszyliśmy z powrotem. Minęliśmy naszą jaskinię, a później tłum tłoczący się wokół maleńkiego mówcy. Dzieci o nic nie pytały, jakby widok innych ludzi wcale nie zrobił na nich wrażenia. Czyżbyśmy zapomnieli im powiedzieć, że jesteśmy jedynymi ludźmi? Poszliśmy dalej. Szliśmy kilka dni i nocy, zatrzymując się tylko na krótki sen i posiłek. Wszędzie mijaliśmy nowe grupy wiwatujących mężczyzn i kobiet. Wbrew temu, co mówił Wasyl, ludzkość miała się dobrze i wciąż lubiła wodzów. Trzymaliśmy się jasnych i ciemnych chmur pyłu. Krajobraz zmieniał się powoli. Gdy opuściliśmy równiny, linia horyzontu zaczęła falować, pojawiło się coraz więcej drzew i rzek. Powietrze było świeże i pełne wilgoci. Często padało. Zaroilo się od zwierząt, zaczęliśmy lepiej jeść, mieliśmy więcej sił, ale nie umieliśmy z tego korzystać, czuliśmy się nieswojo, bo soczyste owoce i zimne strumienie niczego nam nie przypominały. Postanowiliśmy

poszukać terenów, które będą bardziej przyjazne. Za lasami i łąkami trafiliśmy wreszcie do śmierdzącej doliny. Potykaliśmy się o kable i plastikowe rury. Szliśmy coraz wolniej, ale czuliśmy coraz większe szczęście, to było nasze miejsce.

W czasie marszu cały czas próbowałam odtworzyć wypadki ostatnich dni na solniskach. Co się właściwie wydarzyło? Dwa dni przed wymarszem Lea miała sen, który bardzo nie spodobał się Wasylowi. Śniła o rzece, o pochylających się nad nią ludziach. Pili, nie wstając z kłęczek. Pili przez cały jej sen, jakby nie potrafili ugasić pragnienia. Podnieśli się, kiedy zobaczyli, że na tafli przysiadła solna sowa, dobrze znany zły znak wróżący odmianę losu. Niczego się tak nie baliśmy jak zmian. To przecież dziad Wasyla, białowłosy Serge, powtarzał, że nie poradzimy sobie poza solniskami i bił się w piersi, przysięgając, że za słonymi polami płyną rwące rzeki roztopionego metalu, które obmywają masyw radioaktywnych odpadów. Ciągłe przypominał, że nie ma innego miejsca do życia. Zostały tylko niedostępne dla zwierząt słone pola, a my postąpiliśmy słusznie, uciekając przed końcem świata w najdalsze ostępy.

Kiedy Lea opowiedziała w tajemnicy Wasylowi swój sen, starzec przeląkł się nie na żarty. Zakazał jej komukolwiek o tym mówić. Lea obiecała więc milczenie, ale przecież miała pod opieką dzieci, które przed zaśnięciem opowiadały jej o tym, co widziały. Dobrze wiedziała, że świat, w który wierzył Wasyl, nieoczekiwanie i uparcie wracał do swoich korzeni. Dzieci mówiły, że często widują ptaki, w istnienie których rada mężczyzn dawną już zwątpiła. Zauważyły też ciemne plamy na polach, pocące się prawie przezroczyście substancją. W niektórych miejscach, gdzie plamy były znacznie większe, a ziemia wydawała się lekko zapadać, pojawiały się drobne krzewiny, które już wypuściły liście, i tworzyły się na nich zawiązki ciemnobrązowych owoców. Lea przeczuwała, że pustoszenie świata się cofnęło.

To Lei i Maliki brakowało mi najbardziej. Z dziećmi na co dzień prawie nie miałyśmy kontaktu, bo bawiły się same i przychodziły tylko na noc. Mężczyźni, tak jak my, spędzali czas we własnym gronie. Mówiliśmy między sobą, że mężczyźni wykonują niezwykle ważne zadania, bo zajmowali

się polowaniem i obroną, ale przecież od dawna już nie jedliśmy, więc ustały wyprawy po mięso. Może cmentarzysko przodków wcale nie istniało, skoro żadna z kobiet nie miała tam wstępu? Może uwierzyłyśmy w opowieść. A to kobiety wykonywały najważniejszą czynność – czekały, tym się zajmowałyśmy. Siedzeniem i przecieraniem w palcach grud soli. Dużo milczałyśmy, nasłuchując równiny. Naszym zadaniem było wsłuchiwanie się w powietrze, by na czas ostrzec siedlisko przed wiatrem. To wspólne siedzenie w ciszy dawało poczucie bezpieczeństwa. Wystarczyło wyciągnąć rękę, by poczuć ciało jednej z nas. Chwytałyśmy się wtedy szybko za ręce i każda z nas mówiła drugiej:

– Jestem, jestem.

Jakże to wszystko było teraz odległe i obce, gdy tak szłam po pas zanurzona w gąszczu poliestrowych rajstop. Ustaliłam z dziećmi, że zrobimy postój po drugiej stronie plastikowej wydmy. Rozgarniałam rękami sztuczne bluzki i czułam coś na kształt błogości, chwilami nabierałam ochoty, by założyć na siebie któreś ze skotłowanych ubrań. Jeszcze tylko sto lat i ten las rzeczy się rozpadnie. W tym czasie zdążę co nieco przymierzyć, nacieszyć się bogactwem resztek.

Przed zaśnięciem na szczycie usypiska ustaliliśmy, że rano zrobimy ostatnią naradę. Musimy podjąć ważne decyzje, być może nawet się rozdzielić i zacząć nowe życie. Każdy swoje własne.

Kiedy się obudziłam, okazało się, że wszystkie dzieci siedzą już w kręgu i patrzą na mnie wyczekująco. Podeszłam do nich i czekałam, aż zaczną, ale milczały.

– Coś wam pokażę – powiedziała i wzięłam z kieszeni zawiniątko. – To jest ostatnia grudka soli, jaką mamy. Przed opuszczeniem siedliska znalazłam ją pod posłaniem Lei. Miałam ją włożyć do naszej skrytki, ale nie zdążyłam. Pamiętajcie, jak się spieszyliśmy?

– Uwa – zaczął mówić jeden z chłopców – jest coś, o czym ci nie powiedzieliśmy. – Odprowadzimy cię do miejsca, w którym zechcesz zostać, ale nasze miejsce jest tutaj. Sama zobacz. – Klotte wskazał ręką za moje plecy. Kiedy się obróciłam, dostrzegłam w oddali dwie chaty zrobione ze śmieciowej

masy. Jakimś cudem przytaszczyli też truchło drzwi, oparli je o ładnie usypane graty i ogrodzili domostwa zepsutymi sznurami światełek.

– Zamknij oczy! – polecił Klotte. – Czy tutaj nie jest jak w domu?

Posłusznie zamknęłam oczy. Pod powiekami było ciemno, jak dawniej. Uśmiechnęłam się. Brakowało tylko szorstkiej skóry naszych bliskich i smaku soli. Otworzyłam oczy, dałam dzieciom znak ręką, żeby podeszły, i kiedy stanęły blisko, wyciągnęłam na otwartej dłoni grudkę. Każdy polizał palec i przytknął go do niej, by oderwać mały kryształek.

– Dawno temu tak właśnie wyglądało nasze życie – powiedziałam po chwili, gdy już wszyscy mieliśmy w ustach dom. – Nie musicie mnie odprowadzać, niczego więcej nie potrzebuję.

Nocą śniła mi się Malika. Tańczyła na zepsutej pralce. Wyciągała w górę ręce. Opowiedziałam dzieciom o tym śnie. Od tamtej pory w naszych legendach na początku świata była naga kobieta, która przybyła ze wschodu z solą we włosach i założyła królestwo w miejscu, gdzie znalazła pierwszy porzucony sprzęt AGD. Do dzisiaj szukamy gniazdko.



Czego uczy bezradność?

z PROFESOREM ANDRZEJEM LEDEREM

rozmawia JUSTYNA DĄBROWSKA

POCZUCIE BEZRADNOŚCI I TRUDNOŚĆ, żeby sobie z nim radzić, powoduje, że różni zmieniające świat, zwłaszcza młodzi, wyładowują swój gniew na najbliższych, często tych, którzy są im bardzo bliscy także ideowo.

Dlaczego przeżywanie bezradności tak nas drenuje? Wycisza z nas siły?

Bezradność kojarzy mi się z sytuacją klaustrofobiczną. To coś w rodzaju zamknięcia w bardzo małym pomieszczeniu, studni czy może jakiejś skrzyni, któremu towarzyszy niemożność wykonania jakiegokolwiek ruchu przy jednoczesnym poczuciu konieczności wykonania go. Właśnie to napięcie wysysa siły. Jest taka scena w filmie *Django*, gdzie młodą Afroamerykankę, niewolnicę, zamykają w żelaznej skrzyni, którą stawiają na słońcu. Ta skrzynia się rozgrzewa... To męka nie tylko dla niej, ale również dla wszystkich, którzy stoją wokół, a także dla widzów, którzy zwijają się cali w środku. Bezradność tej kobiety zamkniętej w skrzyni udziela się nam wszystkim.

Powiedziałeś o zamknięciu, niemocy, niemożności zrobienia jakiegokolwiek ruchu. Pomyślałam, że to jest po części subiektywne, czyli istotna jest ocena, czy mogę coś zrobić, czy też nie mam żadnego ruchu. Kiedy poprzednio rozmawialiśmy o nadziei [„Pismo” nr 2/2021 – przyp. red.],

ANDRZEJ LEDER (ur. 1960), doktor habilitowany, profesor w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, psychoterapeuta. Autor rozpraw: *Nauka Freuda w epoce „Sein und Zeit”, Prześniona rewolucja, ćwiczenie z logiki historycznej, Rysa na tafli i Był kiedyś postmodernizm*. Nauczka w Szkole Nauk Społecznych IFiS PAN i w Collegium Civitas.

pytałam o jej narodziny, skąd się w nas bierze możliwość jej przeżywania. Jak myślisz, czy w przeżywaniu bezradności też ma znaczenie historia każdego z nas?

Oczywiście, uczucia, które w nas dominują, a także to, czy w ogóle mają do nas dostęp, są związane z historią życia. Bezradność wiąże się często z jakąś sztywnością. Na przykład: im bardziej przywiązujemy się do określonych celów, tym częściej przeżywamy poczucie bezradności, gdy okażą się nieosiągalne. To właśnie wiąże się z pewną sztywnością w naszym sposobie patrzenia na siebie i świat. Myślmy: „Tylko to jedno!”. Żadne inne cele nawet nie przychodzą nam do głowy.

Czy my teraz, w związku z wojną w Ukrainie, stanęliśmy przed taką właśnie ścianą?

Wielu z nas pragnie ukarać krzywdziciela. Chcemy osiągnąć ludzi, którzy są sprawcami nieszczęść, tych strasznych rzeczy, które oglądamy. W tym jest też coś z pragnienia odwetu. Można by z jednej strony powiedzieć, że trzeba zrezygnować z tego celu, bo jest praktycznie nieosiągalny, ale z drugiej – jest w nas potrzeba fundamentalnej sprawiedliwości. Zrezygnowanie z niej jest bardzo trudne. Więc zostajemy z poczuciem tego, jak straszna krzywda się dzieje, a jednocześnie jak niewiele możemy zrobić. I to nas drenuje.

Jakie jeszcze inne nasze potrzeby powodują teraz frustrację?

Jeśli mówimy o Ukrainie, źródłem frustracji, choć w o wiele mniejszym stopniu niż ta pierwsza, jest także potrzeba, żeby jakoś pomóc, ulżyć ludziom, którzy są na



tej wojnie i którzy przed nią uciekają. Dowodem na siłę tej potrzeby jest ogromny, pomocowy zryw, który nastąpił w Polsce. Zresztą jest on zadziwiający, bo nic takiego się nie pojawiło w momencie, kiedy na białoruskiej granicy ludzie uciekali przed wojną z Syrii, w gruncie rzeczy bardzo podobną i prowadzoną przez podobnego wroga. Te dwie sytuacje pokazują dwa sposoby radzenia sobie z poczuciem bezradności: gwałtowna aktywność, w psychoanalizie nazywana odreagowaniem przez działanie – to właśnie działo się w pierwszych miesiącach wojny ukraińskiej – albo zaprzeczenie, niedopuszczanie do świadomości czegoś strasznego, co się dzieje na naszych oczach. To drugie było typową reakcją dużej części Polaków na sceny rozgrywane się na białoruskiej granicy: wywożenie kobiet i dzieci do lasu, odmawianie pomocy chorym, oskarżanie aktywistów pomocowych o handel ludźmi... Wszystko to przysłańiały frazesy na temat białoruskiej wojny hybrydowej. Bezradność często skłania do odwrócenia oczu.

Usiłuję zrozumieć to, czego jesteśmy świadkami, uczestnikami. Nazwałeś to zrywem, ale to już trwa miesiące: działania na rzecz Ukraińców, często dzielenie się własnym dachem nad głową. Jak to rozumiesz, czemu nam się to już tyle czasu udaje, poza tym, że to jest jakiś sposób radzenia sobie z bezradnością wobec zła wojny?

Słuchałem wypowiedzi profesora Janusza Czapińskiego, który mówił o mniej szlachetnym motywie, mianowicie o tym, że my i Ukraińcy mamy wspólnego wroga. Wielkiego, odwiecznego... A wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Polskie społeczeństwo jest tak doświadczone rosyjskimi najazdami, że walka Ukrainy w naturalny sposób uruchamia odruch solidarności. I póki ta wojna będzie trwała, będzie trwała mobilizacja, bo jej głównym napędem jest właśnie wrogość wobec Rosji. Ona przykryła trudne emocje, które wielu Polaków ma w stosunku do Ukraińców.

Mam jeszcze inną hipotezę. Myślę, że to, jak rozwija się w ostatnich latach polska demokracja, przede wszystkim ujawnienie gwałtownych konfliktów rozdierających społeczeństwo i emocji z nimi związanych – wzajemnej wrogości, pogardy, złości – wywołało poczucie pewnego rodzaju niechęci do samych siebie. Tak jakby przy tych niedzielnych stołach, gdy nagle stryjowi wrywa się coś wstrętnego o osobach LGBT+, a na to cała najmłodsza część rodziny wychodzi, pryskał mit o dobroci Polaków i związane z nim dobre samopoczucie. I ze względu na to w ostatnich latach zaczęliśmy jeszcze bardziej siebie nie lubić niż wcześniej. Polskie społeczeństwo nie jest oswojone z konfliktami, wyrzuca je na zewnątrz: źli są ci inni, a my jesteśmy dobrzy. A w ostatnich latach połowa Polaków okazała się naszymi wrogami...



Mówisz o ogromnej polaryzacji polskiego społeczeństwa?

W ostatnich latach rządów Prawa i Sprawiedliwości (PiS) polaryzacja się bardzo zaostrzyła. I jedną z konsekwencji tego słynnego „już nawet nie można razem zjeść kolacji wigilijnej, bo wszyscy się ze wszystkimi pokłóca”, jest poczucie, że z nami jest coś nie tak, że to coś nieprawidłowego. Wydaje mi się, że obecna ogromna pozytywna mobilizacja jest sposobem leczenia tej rany, tego rozdarcia. Może nawet się kłócimy, jesteśmy okropni i ten stryj jest naprawdę nie do zniesienia ze swoimi poglądami, ale jednak potrafimy pomóc ludziom, którzy są w potrzebie i którzy są krzywdzeni w okropny sposób.

Czyli pojawił się jakiś klej społeczny, dzięki któremu możemy na chwilę odetchnąć od tego podziału i poczuć się lepszymi ludźmi?

Dla wielu pomagających ma to ogromne znaczenie. Wreszcie możemy skierować wszystkie nasze złe uczucia w stronę tych, którzy siedzą w Petersburgu czy w Moskwie i stamtąd nam grożą.

Czyli ulga, bo zło można wyprojektować na zewnątrz, a my możemy pozostać szlachetni. A co myślisz, jako autor *Przeźnionej rewolucji*, o takiej hipotezie, że to pomaganie jest też jakoś upodmiotawiające? W końcu mamy coś do dania i możemy to zrobić sami, bo nie państwo to wszystko organizuje ani nawet w wielu miejscach nie robią tego samorządy, tylko tak zwani zwyczajni ludzie.

Zgoda. Upodmiotowienie przełamuje bezradność. Choć nie jestem takim optymistą jak ty, bo jak powiedziałem wcześniej, jest dla mnie niepokojące, jak bardzo tego odruchu pomocowego nie było wobec uchodźców na granicy białoruskiej. Upodmiotowienie miesza się tu trochę z pozytywnym *acting outem*, uciekaniem od problemu w stronę działania. No i jest jeszcze jedna sprawa: wprawdzie państwo nie działa, ale przyzwala na tę pomoc, a nawet się nią chwali. Zupełnie inaczej niż na granicy białoruskiej, gdzie państwo nie dość, że nie pozwala działać, to wręcz to represjonuje. Oczywiście tam ta pomoc mimo wszystko jest, o tym trzeba mówić i pamiętać, tam aktywne są organizacje pozarządowe, wśród miejscowych mieszkańców też jest bardzo wielu takich, którzy pomagają uchodźcom. Ale skala mobilizacji jest nieporównywalna. Niepokoi mnie, do jakiego stopnia dyskurs władzy toruje drogę jednym zachowaniom, a inne gasi, dlatego z tą realizacją upodmiotowienia byłbym dość ostrożny.

Bezradność, którą przeżywamy, bezradność wobec zła, wobec okrucieństwa jest też bezradnością wobec kruchości życia. Wojna mocno nas konfrontuje z tym, że życie jest delikatne, jest czymś ulotnym, co tak łatwo można odebrać.

To powrót czegoś, co było zawsze. Kruchosc życia, napór śmierci, jeźdźcy apokalipsy: głód, zaraza, wojna, śmierć. Na pewien czas ten rodzaj świadomości został wyrugowany w kręgu kulturowym Zachodu, do którego kiedyś aspirowaliśmy, a teraz nawet udało nam się do niego podłączyć. Do 1945 roku poczucie stałego zagrożenia wojną było w Europie częścią podstawowej edukacji, częścią dziedzictwa. Mężczyźni byli wychowywani do tego, żeby służyć w wojsku, a życie złożyło na ołtarzu ojczyzny – niezależnie od tego, czy to była Polska, Francja, czy Niemcy, nie mówiąc o Rosji. Jeszcze niedawno to był naturalny sposób myślenia o życiu. Ale po ostatniej wojnie światowej, po tych wszystkich „nigdy więcej” kultura wojny zaczęła być kontestowana. I gdzieś od lat 60. zeszłego stulecia myśl o śmierci w boju została wyparta. To, jak bardzo odzwyczailiśmy się od perspektywy, że życie jest ulotne, wymaga głębokiego przemyślenia.

A jest ulotne.

W kulturze narcyzmu, w której żyjemy, stworzonej przez pokolenie *boomerów*, jest obecne coś w rodzaju poczucia nieśmiertelności. A może raczej pragnienie poczucia nieśmiertelności. Zobacz, jak bardzo rolę sprawy niesprawiedliwej, okrutnej i pełnej cierpienia śmierci przejęła w naszej kulturze choroba, przede wszystkim nowotworowa. Ta śmierć jednak przychodzi od wewnątrz, nie przynoszą jej inni ludzie, raczej los, nasze własne ciało... Strach przed nowotworem to był jeszcze niedawno najważniejszy strach egzystencjalny, taki, wobec którego człowiek był bezradny. Ale teraz właśnie doświadczamy tego, jak wraca dawny strach, przed przemocą wojenną, przed złymi, uzbrojonymi ludźmi. Gdy widzimy innych, którzy w zasadzie są zupełnie podobni do nas i nagle są zabijani, przeżywamy szok.

A jakie widzisz jako psychoterapeuta sposoby, za pomocą których ludzie radzą sobie z bezradnością?

Ogromna część różnych mechanizmów obronnych, którymi bez przerwy się posługujemy, chroni nas przed głębokim doświadczeniem bezradności. Przypomniało mi się, jak w kilka dni po rozpoczęciu wojny zaczęłaś pracować jako wolontariuszka na dworcu. Mówiłaś, że byli tam młodzi ludzie, którzy się błyskawicznie sami zorganizowali. Natychmiast weszli w tryb działania. To też był sposób, żeby poradzić sobie z przytłaczającym poczuciem bezradności. Myślę, że w innych sprawach jest podobnie. Na przykład w kwestii katastrofy klimatycznej i tego, jak bardzo młodzi ludzie na nią zareagowali. Była mobilizacja, była próba działania, tysiące czy dziesiątki tysięcy ludzi wyszły na ulice, ale kiedy się okazało, że świat nie chce się zmienić, pojawił się kryzys wypalenia, wróciło poczucie bezradności. I o ile pomoc

na dworcu przynosi szybki rezultat, bo po prostu pomaga się konkretnej osobie, o tyle w sprawie katastrofy klimatycznej czy Strajku Kobiet okazało się, że jesteśmy tak samo bezradni po demonstracjach, jak przed nimi. Następnym etapem często bywa odwrócenie wzroku, zapominanie o problemie, życie tak, jakby coś „nie do przyjęcia” było normalne.

Rozumiem, że rozmawiamy o tym, jak odróżnić te przestrzenie, gdzie wpływ jest możliwy, od tych, gdzie jest niemożliwy? Że czasami pole manewru jest mikroskopijne – na przykład wszystko, co mogę zrobić w sprawie wojny, to pomóc w znalezieniu noclegu Ukraince, która przyjechała z jedną torebką i kotem na Dworzec Zachodni.

Oczywiście, są możliwości przełamania poczucia bezradności przez wspólne i długofalowe działanie. Przez to, że nie tylko ja pomogę tobie, ale my zrobimy coś dla innych. To jest dzisiaj bardzo trudne, wymaga cierpliwości i wytrzymywania nieuniknionego poczucia bezradności. Żeby się nie zniechęcać i nie przeżywać jako klęski, kiedy ściana nie chce ustąpić mimo tego, że duża grupa osób na nią napiera. Długi marsz. Wiele osób nie jest w stanie znieść takiej sytuacji. Poczucie bezradności często wywołuje agresję – tak rozumiem te apokaliptyczne klótnie wśród różnych zmieniających świat, szczególnie wśród młodych, wzajemnie się „cancelujących”. Poczucie bezradności i trudność, żeby sobie z nim radzić, powoduje, że wyładowują ten gniew na najbliższych, często tych, którzy są im bardzo bliscy także ideowo.

Tym, co pogłębia uczucie bezradności, jest samotność. Rzeczywiście bardzo trudno sobie z nią radzić w pojedynkę. Natomiast wtedy, kiedy możemy być w tej bezradności trochę razem, lżej jest ją wytrzymać, prawda? Pierwszym moim odruchem, kiedy już się troszeczkę pozbierałam po wybuchu wojny, była myśl, żeby się spotkać z kolegami, żeby stworzyć grupę wsparcia dla psychoterapeutów. Że teraz na pewno będziemy mieli okropnie dużo pracy, i bycie razem w przeżywaniu nawet bardzo trudnych uczuć jest mi potrzebne.

Uderzyło mnie, jak bardzo potrzebne okazały się grupy, w których po prostu rozmawia się o traumie, jaką jest to, że tak blisko wybuchła wojna, i o bezradności wobec niej. Takich rozmów odbyło się mnóstwo, zresztą nie tylko wśród psychoterapeutów, ale w bardzo wielu różnych środowiskach. Rzeczywiście wydaje się, że potrzeba dzielenia się jest ogromna i jej spełnienie pozwala zmniejszyć poczucie bezradności wywołanej tą sytuacją. Ale teraz chciałbym spojrzeć na drugą stronę medalu. Mam w pamięci fragment książki Harukiiego Murakamiego *Kronika ptaka nakręcacza*, w której jeden z głównych bohaterów schodzi w pewnym momencie do

Sądzę, że prawdziwa zmiana wymaga doświadczenia poczucia bezradności wobec wszystkich strategii, którymi człowiek się dotychczas posługiwał.



Tej i innych rozmów posłuchasz również w wersji audio na magazynpismo.pl/idee/rozmowa

wyschniętej studni. Siedzi tam, jest odizolowany, nie ma możliwości wykonania jakiegokolwiek ruchu. Odcina się od świata i świadomie wybiera bezradność. I siedzi w tej studni bardzo długo. Dla przedstawiciela wspólczesnej cywilizacji zachodniej byłoby to nie do zniesienia. Natomiast ten bohater przeżywa głęboką, wewnętrzną przemianę. To taki metaforyczny obraz sytuacji, która nie daje możliwości żadnego działania w świecie i właśnie wtedy coś się zmienia wewnątrz, w psychice tego człowieka.

Pokrywa się to z moją obserwacją, że dopóki ktoś, kto jest w procesie zmiany, na przykład w psychoterapii, ma możliwość, żeby jakoś być aktywnym na zewnątrz – odreagować, zadziałać, ale też zrationalizować, zmienić temat, zapomnieć – dopóty zmiana, głęboka zmiana nie nastąpi. Sądzę, że prawdziwa zmiana wymaga doświadczenia poczucia bezradności wobec wszystkich strategii, którymi człowiek się dotychczas posługiwał. Lacanowska psychoanaliza trafnie nazywa ten proces „przemierzaniem fantazmatu”. Mam pewien fantazmat, w którym jestem bohaterem, i będę szukał wszystkich możliwości, jakie ten fantazmat daje, by nie przyjąć do wiadomości tego, że jestem bezradny wobec samego siebie. To przemierzanie dzieje się głęboko, nie do końca jest się jego świadomym. Atoli dopiero kiedy tego ruchu już nie ma, kiedy wyczerpane są już wszystkie sposoby unikania bezradności, otwiera się możliwość głębokiej zmiany.

Mówisz, że spotkanie z własną bezradnością może być rozwojowe? Takie zatrzymanie się w biegu ku różnym celom, żeby czegoś nie zobaczyć, nie poczuć, nie uświadomić sobie – bezradność pozwala nam dostrzec prawdę o sobie?

Tak.

Przypomniało mi się teraz – z mojej własnej terapii – że wszystkie moje wartościowe wglądy były poprzedzone uczuciem niemocy. Po każdym wglądzie przychodzi smutek, bo nie jest łatwo dotykać niepokolorowanej rzeczywistości. Choć bezradność może być uwalniająca w tym znaczeniu, że czasem naprawdę nie możemy czegoś zmienić i uznanie tego przynosi ulgę. Przykład, który przychodzi mi do głowy, to śmierć kogoś bliskiego. Przyjęcie tego faktu może pomóc: tak po prostu jest, przede mną żałoba, nic już tu nie wykombinuję, nie zaczaruję rzeczywistości.

Tak, to ważny przykład. Doświadczenie tego rodzaju bezradności warunkuje wejście w proces żałoby. Powiązałbym zresztą te dwie myśli. Moim zdaniem moment, kiedy doświadcza się rzeczywistej bezradności, zawsze wiąże się z pewną utratą. Choćby poczucia sprawczości, u niektórych – wszechmocy. Dopiero żałoba po tej utracie z jednej strony otwiera na zmianę, z drugiej

– uwalnia od przymusu ciągłego brania na siebie odpowiedzialności za zbyt wiele spraw, szarpania się, wyjąławiania...

Czasami rzeczywiście sprawy są po prostu rozstrzygnięte i trzeba to zaakceptować. Sztuka pewnie polega na tym, żeby umieć odróżniać, które sprawy są rozsądzone, a w których możemy coś zdziałać. Jest przecież coś takiego, jak wyuczona bezradność, czyli postawa: ileś razy waliłem głową w mur, więc już nie będę nic robił, bo to nie ma sensu.

Na szczęście młodzi często nie wiedzą, że coś jest niemożliwe. Znalezienie równowagi pomiędzy wzięciem odpowiedzialności i poszukiwaniem różnych sposobów wyjścia a przyjęciem bezradności i wejściem na drogę wewnętrznej zmiany to w ogóle bardzo trudna sprawa. Myślę, że między innymi tego się uczymy, zaczynając pracę terapeutyczną. Uczymy się zresztą głównie temu nie przeszkadzać, bo jest to proces poza kontrolą świadomości.

Natomiast wyuczonej bezradności zupełnie bym nie utożsamiał z bezradnością w tym sensie, o którym mówimy. To jest tak naprawdę pewnego rodzaju strategia społeczna, która wcale nie jest bezradna, jest bardzo twarda i czasami konieczna. To jest sposób działania.

Opowiedz o tym trochę więcej.

Przedstawiciele społeczności, które na różne sposoby doświadczyły pozbawienia podmiotowości, a więc głębokiej bezradności – w dawnej Polsce chłopci poddani pańszczyźnie, w Stanach Zjednoczonych Afroamerykanie, którzy doświadczyli niewolnictwa – nauczyli się tak działać, żeby w relacji z silnymi nie brać za nic odpowiedzialności. Każde wzięcie odpowiedzialności jest niebezpieczne, bo prawie na pewno zostanie się za to ukaranym. W związku z tym przedstawiciele tych społeczności mają mnóstwo strategii, które pozwalają pokazywać własną bezradność tym, którzy żądają od nich czegośkolwiek. W literaturze polskiej dobrą ilustracją jest postać starego Kiemlicza, który – kiedy Kmicic chce go wraz z synami zawlec na Jasną Górę, by jej bronili – rozpacza i wykrzykuje: „Niegodniśmy, niegodni!”. To jest właśnie forma eksponowania bezradności, ale tak naprawdę – jak słusznie zresztą Kmicic zauważa – chodzi o to, żeby nie siedzieć w twierdzy i móc bezkarnie rabować. To oczywiście skrajny przykład, ale takie społeczności mają mnóstwo tego typu drobnych strategii unikania odpowiedzialności i okazywania bezradności.

To może wróćmy teraz do bezradności jako żywego uczucia, które w nas jest i nie wiąże się z unikaniem odpowiedzialności, tylko z niemocą wobec okrucieństwa. Co robić, gdy nie można zasnąć po tym, jak się zobaczyło

Więcej na ten temat
możesz posłuchać

16 października
o godz. 17:00

na antenie

chillizet

Warszawa 101,5 FM,
Katowice 93,6 FM,
Kraków 93,7 FM,
Hel 107,8 FM
oraz na
www.chillizet.pl

masowe groby w Buczy, zdjęcia z Azowstalu, filmy z poródówki w schronie?

Niemożność zatrzymania ludzi, którzy robią coś złego, i bezradność wobec cierpienia tych, którzy tego zła doświadczają? Bardzo trafna wydaje mi się metafora „wyspanych sił”, o której wspomniałaś na początku. To jest coś, co wysysa siły, bo buzuje w nas gniew i współczucie, ale ten gniew nie ma ujścia. Ja przekształcałam to w uczucie polityczne, przekonanie, że trzeba wywierać jak największą presję na wszystkich, którzy nie są bezradni. Czyli na polityków, żeby podejmowali decyzje, które mogą doprowadzić zarówno do końca tej wojny, jak i do ukarania tych, którzy są winni zbrodni, i wreszcie – pomocy ofiarom. Widać, że politycy się do tego zbytnio nie pałą, ale myślę, że na to mamy wpływ. Po Buczy kolejny raz w historii było tak, że gdy ujawniono naprawdę straszne zbrodnie, to politycy się zmobilizowali.

To chyba jest coś nowego, czego od dawna nie widzieliśmy: że jakiś rodzaj presji na polityków ma sens. Do tej pory miałam wrażenie, że nasze wymagania wobec polityków spotykają się z kamienną twarzą z eksperymentu Edwarda Tronicka. My mogliśmy wierzyć, wołać, krzyczeć, a po drugiej stronie – maska, zero reakcji. W tym przypadku presja społeczna mobilizuje władze. Pytanie, jak bardzo i na jak długo.

I jak głęboko. Choć rzeczywiście wydaje mi się, że to, co teraz nazwałaś, jest bardzo ważne. Że ten moment, kiedy widziało się bardzo poruszoną przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen czy mówiącego niezwykle mocno, jak na tak wytrawnego polityka, prezydenta Stanów Zjednoczonych Joego Bidena – był ważny. To dawało poczucie, że nie tylko ja jestem poruszony, nie tylko my, ale również ludzie, którzy nas reprezentują. Że w nich ta sytuacja też uruchamia pewnego rodzaju poczucie bezradności, potrzebę działania i silną reakcję.

I gniew, o którym mówiłaś. Bo tu jest trochę jak w przemocowej rodzinie, że jeżeli dzieją się w niej straszne rzeczy, ale jest ktoś na zewnątrz, kto to zauważy i powie: „Stop, to się nie może dziać, to jest złe”, to ofiarom odrobinę łatwiej znieść bezradność. Oglądałam przemówienie kanclerza Olafa Scholza w Bundestagu, kiedy ogłaszał decyzję o zmianie doktryny Niemiec. Wtedy przyniosło mi to ulgę, chociaż były to tylko słowa.

Zastanawiałem się nad różnicą reakcji wobec tej wojny i konfliktu w Jugosławii. Tamtą wojnę pewnie uważano za lokalną. Znaczenie miała też orientalizacja Bałkanów – podejście, że „oni tam zawsze się wyżynają”. A tutaj jest jednak imperium atomowe, które najeżdża swojego sąsiada i grozi wszystkim innym. Jak sąsiad, który gwałci sąsiadkę, a do innych mówi: „Jak się który

ruszy, to zaje...”. Dlatego w tej reakcji jest i przerażenie, i bezradność wobec brutalnej siły, wobec szantażu. To wróciło, jak w latach 30. XX wieku. Coś, co wydawało się już zupełnie odpędzone, znowu stoi na naszym progu.

Warto powiedzieć na koniec o reakcji Ukraińców. Rosja jest o wiele większa, jest uważana za mocarstwo, i najeżdża mniejszy kraj, bez broni atomowej. I ten mniejszy kraj mówi: „To nie będzie takie łatwe, my się nie damy”. Przecież oni też mogliby zareagować jakimś rodzajem bezradności, przerażenia, natomiast to, jak się zachowali, jest przykładem hartu, niepoddawania się bezradności.

To jest niesłychane. Kiedy w 2014 roku Rosjanie zajęli Krym i część obwodów ługańskiego i donieckiego, ten duch oporu był dużo słabszy. Myślę, że to doświadczenie bardzo wiele ich nauczyło. Różni przedstawiciele Ukrainy po 24 lutego mówili: „Dla nas to nie było zaskoczeniem, my to mamy już od ośmiu lat”. I jeszcze jedno – w międzyczasie powstała tam silna tożsamość. I to jest zadziwiające, to szybkie upodmiotowienie narodu, który określiłbym jako polityczny. Bo to nie jest naród, który ma oczywiste, etniczne korzenie. Tak jak Polacy dzisiaj są raczej jednolici etnicznie, tak Ukraińcy są „pomieszani”. Zachodnia Ukraina to Ukraińcy z monarchii cesarsko-habsburskiej, wschodnia – to ludność przemieszczona w okresie stalinowskim, do tego są tam Tatarzy, Żydzi, inne mniejszości. I oni w ogromnej większości mówią: jesteśmy obywatelami Ukrainy, chcemy żyć w tym państwie, w tym społeczeństwie. I wybierają na prezydenta Żyda „z odesskiego kabaretu”...

I to jest jakiś cud, który się tam dokonał.

TAJEMNICA PĘPKA

Mój pępek jest bardzo głęboki i nigdy nie lubiłam go czyścić. Sprawy zaszły tak daleko, że teraz boję się tam zajrzeć w obawie, że znajdę kawałek kanapki z podstawówki.



Władza absolutna

tekst GRAEME WOOD

przełożył JAN DZIERZGOWSKI

—

NA PYTANIE O MORDERSTWO Dżamala Chaszukdziego Muhammad ibn Salman odpowiedział: „Gdybyśmy zabijali publicystów, którzy nas krytykują, Chaszukdzi nie znalazłby się nawet w pierwszym tysiącu nazwisk na naszej liście”.

Muhammad ibn Salman, księżę koronny Arabii Saudyjskiej, ma trzydzieści siedem lat i od pięciu lat rządzi krajem. Jego ojciec, osiemdziesięciosześcioletni król Salman, od 2019 roku prawie w ogóle nie pokazuje się publicznie, zresztą od początku pandemii sam MBS – jak nazywany jest księżę – tylko kilka razy opuścił pałac. Dawniej wszędzie go było pełno, jeździł po kraju, nieustannie promując swój plan zmodernizowania państwa. Jednak krótko po zamordowaniu dziennikarza „The Washington Post” Dżamala Chaszukdziego w 2018 roku MBS zdecydowanie ograniczył podróże. Ostatniego wywiadu dla prasy zagranicznej udzielił ponad dwa lata temu. CIA ustaliła, że to on zlecił zabójstwo Chaszukdziego, a saudyjscy prokuratorzy wykazali, że za zbrodnią stali najbliżsi współpracownicy księcia. Najprawdopodobniej poćwiartowali oni zwłoki ofiary, a następnie się ich pozbyli.

MBS już wcześniej miał reputację człowieka bezwzględnego. W 2017 roku

aresztował kilkuset członków własnej rodziny oraz innych bogatych Saudyjczyków pod zarzutem korupcji. Zamknął ich wszystkich w hotelu Ritz-Carlton w Rijadzie. Zabójstwo Chaszukdziego ostatecznie przypieczętowało wizerunek młodego księcia jako brutalnego psychopaty przeczulonego na punkcie swojej reputacji. Do ludzi nieprzychylnie oceniających MBS zalicza się prezydent Joe Biden, który od czasu objęcia urzędu odmawia rozmowy z przywódcą Arabii Saudyjskiej. Wiele osób w Waszyngtonie i innych zachodnich stolicach ma nadzieję, że MBS ostatecznie nie zostanie królem.

Tymczasem w Arabii Saudyjskiej uważa się to za przesądzone. – Każdy Saudyjczyk ci powie, że MBS zasiądzie na tronie – rzucił w rozmowie ze mną wysokiej rangi saudyjski dyplomata. – Może w Waszyngtonie są ludzie, którzy w to nie wierzą. Trudno, nie pomogę im, nie jestem psychiatrą.

Po śmierci ojca MBS zostanie władcą absolutnym kraju, w którym narodził się islam. Będzie właścicielem największych na

świecie łatwo dostępnych rezerw ropy naftowej. Nie wolno też zapominać, że Arabia Saudyjska to jeden z najbliższych sojuszników Ameryki i jej wieczne utrapienie.

Przez ostatnie trzy lata podróżowałem tam wiele razy i próbowałem odkryć, kim tak naprawdę jest księżę koronny. Mordercą? Reformatorem? Może jednym i drugim? A jeśli tak, czy jego brutalne zapędy i marzenia o transformacji kraju są ze sobą nierozdzielnie związane?

Nawet jego krytycy przyznają, że tchnął w swoją ojczyznę nowego ducha, wyrwał ją z gospodarczej i społecznej apatii. W 2016 roku ogłosił plan zwany Wizją 2030 i zapowiedział, że zmieni Arabię Saudyjską, czyli – proszę mi wybaczyć dosadność – jeden z najdziwniejszych krajów na Ziemi, w państwo, które dałoby się nazwać normalnym. Dziś Arabia Saudyjska jest dostępna dla gości z zewnątrz i inwestorów, obywatele mogą korzystać z rozmaitych zabronionych wcześniej rozrywek, a nawet pozwolić sobie na drobne grzeszki. Księżę koronny zalegalizował kina i koncerty, zapraszał raperów – i to całkiem kontrowersyjnych – na występy, pozwolił kobietom prowadzić samochody i ubierać się równie wyzywająco, jak w Dubaju lub Bahrajnie, najprawdziwszych jaskiniach rozpusty. Ograniczył wpływ duchownych tradycjonalistów i policji

